

LOUIS LETANG.

## FATALNY TALIZMAN

Tłóm. z franc. Marya Segeny.

3)

Przy zwłokach pozostał tylko ksiądz Klemens i stary Benoît.

Po upływie kilku minut drzwi otworzyły się niecierpliwie. Markiza de Rochegrise weszła, prowadząc za sobą córkę.

Nie wyrzekłszy słowa obydwie kobiety ukłękły u sióp łóżka.

Na ich widok ksiądz Klemens powstał, przeżegnał się poraz ostatni i miarowym, cichym krokiem podążył ku drzwiom. Ale w samym progu spotkał się z panem de Lognes. Człowiek ten nie miał sympatycznego widoku. Wysoki był i chudy. W twarzą kościstą, wybladłą świeciły niepokojącym blaskiem, głęboko osadzone o dziwnie ponurem spojrzeniu — nieduże, czarne oczy. Wąskie, zaciśnięte usta, pokrywały do połowy ciemne, zwisające wasy.

Na widok niespodziewany księdza Klemensa, pan de Lognes cofnął się niemile zdumiony i krzaczaste brwi jego zbiegły się w wyrazie niezadowolenia. Wytwornym ruchem sklonił jednak przed nim głowę, lecz kiedy ksiądz Klemens uszedł już parę kroków w głąb korytarza — pan de Lognes zamiast wejść do pokoju gdzie leżały zwłoki markiza — spieszenie, jakby pod wrażeniem nagłego zdecydowania pobiegł — za nim wołając:

— Przepraszam, chciałbym parę słów zamienić.

— Jestem do usług pana — odpowiedział ksiądz Klemens zatrzymując się.

— Czy przybył ksiądz tu na wezwanie pana de Rochegrise? zapytał de Lognes — przenikliwie wpatrując się w księdza Klemensa.

— Tak.

— Ach! to ciekawe! — szepnął de Lognes, a w oczach jego zabłysł wyraz wściekłości i niepokoju.

— Ale to dziwne — ja księdza widzę po raz pierwszy.

— Przybyłem tu w zastępstwie proboszcza z Monestier.

— A więc ksiądz zna proboszcza Peyrusse?

— Jest on moim dobroczyńcą.

— I on to prosił pana o zastępstwo?

— Tak on.

— Czy przybył ksiądz dosyć wcześnie, aby wysłuchać spowiedzi pana de Rochegrise?

— Tak i nie. Markiz zaledwie mógł już wymówić słów kilka, ale...

Ksiądz Klemens urwał nagle zdumiony zmianą jaką zaszła w rysach pana de Lognes. Twarz ta w tej chwili wyrażała jakąś groźbę straszną i mściwą. Machinalnym ruchem ksiądz Klemens ukrył głębiej zapieczętowaną kopertę, wręczoną mu przez umierającego, ale ruch ten nie uszedł bacznej uwagi pana de Lognes.

— Co to za papier? — zapytał siląc się na spokój. Ksiądz Klemens brzydził się kłamstwem — odpowiedział też z całą prostotą.

— Jest to spisana spowiedź zmarłego.

Pan de Lognes zadrał całym ciałem.

— Spowiedź spisał Co za szaleństwo — Ksiądz mi odda ten papier — dodał wyciągając gwałtownie rękę. — Pan de Rochegrise cierpiał na zaburzenia umysłowe. Halucynacje, które tu spisał nie mają żadnej wartości — być może nawet skompromitować mogą imię rodziny dotąd nieskalanej żadną plamą. Pan mi ten papier odda — powtórzył nakazującym głosem.

— Nie oddam — odparł spokojnie, ale stanowczo ksiądz Klemens —

— Ach! niech się ksiądz strzeże. Są na świecie tajemnice śmiertelne, dla tych, którzy je przeniknąć pragną. Proszę się nie opierać — Czekam.

Przy ostatnich słowach pan de Lognes podszedł tak blisko do księdza Klemensa, że dotykał prawie twarzą jego twarz, a głos jego dźwięczał ukrytą groźbą i wściekłością.

Ale ksiądz Klemens cofnął się spokojnie i patrząc prosto w jego oczy wymówił jasnym, dźwięcznym głosem:

— Czy tajemnica ta będzie dla mnie śmiertelną, czy nie, poznać ją muszę, skoro umierający nie mógł mi się z niej zwierzyć. Taka była jego wola i takim jest mój obowiązek. Ale niech się pan uspokoi. Te kartki spisane ręką zmarłego zostaną spalone przezemnie, dziś

w nocy jeszcze — a ja o ich treści zapomnę... zapomnę nawet nazwisko tego, który mi je wręczył.

— Chciałbym uwierzyć w prawdę tych słów — wymówił pan de Logres powątpiewająco potrząsając głową. Jednakże za młodym jesteś abym ci mógł zupełnie zaufać.

— Co znaczą lata — rzekł łagodnie ksiądz Klemens — osobistość moja, zaręczam panu, nie gra tu żadnej roli. — A zresztą dodał uśmiechając się smutnie, kić wiedzieć może, czy ja młody i pełny sił nie jestem bliższy śmierci, niż stary i sterany życiem ksiądz Peyrusse, który mnie tu przysłał.

Dziwny błysk przemknął w czarnych oczach pana de Lognes...

— Rzeczywiście... bardzo jest to możliwym — szepnął głuchym... A więc dobrze — mówić zaczął pospiesznie jakgdyby chciał zakończyć niemłą dla siebie scenę. — Muszę ustąpić wobec tak głębokich wywodów i sędzę, że ksiądz wybaczy mi moją natarczywość. Jestem starym przyjacielem rodziny de Rochegrise i wiem, że nerwowy, chorobliwy charakter markiza był powodem, niejednego ciężkiego zmartwienia żony jego i córk. Obawiam się wraz, że w zwierzeniach jego ostatnich nie kryje się znowu coś takiego coby je na dalsze — narazić mogło. Jedynie przyjacielska troska o spokój tych dwóch nieszczęśliwych kobiet upoważniła mnie do zainterpelowania księdza w trochę może zaostry sposób. Sędzę zatem, że rozejdziemy się bez urazy — nieprawdaż?

Ksiądz Klemens zaskoczony nagłą zmianą w obejściu się pana de Lognes, sklonił się tylko zimno, lecz nie wymówił słowa.

— Może ksiądz sobie życzy, abym kazał przygotować pokój dla niego na noc — pytał dalej uprzejmie pan de Lognes.

— Dziękuję. Muszę wracać do Monestier.

— Jakto? tak późno? w nocy?

— Ksiądz Peyrusse jest chory, potrzebuje mojej obecności.

— To może chociaż ksiądz pozwoli się odwieść sankami?

— Dziękuję. Droga do Monestier jest bardzo niedobra obecnie. Wątpię czy konie mogłyby przejść tamtędy.

— Ale jakże ksiądz się dostanie na miejsce?

— Piechotą — polami. Poprowadzi mnie młody Lagarade, który mi tu towarzyszył.

— Nie obawia się ksiądz zabłądzić.

— Nie. Pójdziemy naprzód wzdłuż skał aż do Pas-de-Cronce, a potem prowadzić nas będzie światło, które służąca księdza de Peyrusse zapalić miała w dzwonnicy Monestier.

— Widzę, że ksiądz się dobrze zabezpieczył — zaśmiał się pan de Lognes. Nie zatrzymuję więc. Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze, przy omawianiu formalności pogrzebu pana de Rochegrise. Tymczasem do widzenia. Życzę szczęśliwej drogi.

XI.

Marcin Lagarade był praktycznym chłopcem. Kiedy wyproszono go z sypialni gdzie dogorywał markiz de Rochegrise — udał się prosto do kuchni zamkowych, gdzie natychmiast zajął wygodne miejsce przy piecu i gdzie bez trudu udało mu się otrzymać duży kawałek świeżo upieczonego chleba, wraz z dostatnim kawałkiem pieczenia i szklankę wina pachnące bardzo zachęcająco. Posiliwszy się, rozmarzony ciepłem buchającym od pieca, zapadł niedługo w sen silny i pokrzepiający.

W tych to warunkach zaszedł go ksiądz Klemens, który już od chwili szukał go po zamku.

— Oh! a która to jest godzina? mruknął nagle przebudzony.

— Dochodzi północ.

— Oh! Boże! I my mamy wracać o takiej godzinie? Nie zanocujemy tutaj?

— Wiesz Marcinie, że ksiądz Peyrusse jest chory, — odpowiedział z wyrzutem ksiądz Klemens.

— Tak, oczywiście, wiem, jednakże...

— Czyżbyś się obawiał zabłądzić, Marcinie?

— Oh! nie! Znam doskonale drogę do Monestier.

— Czegóż więc się lękasz?

Młody chłopak westchnął ciężko.

— Bo to... o północy... łatwo spotkać się można z Niedobrym Pasterzem... tam przy skale Pas-de-Cronce...

Ksiądz Klemens uśmiechnął się. Znał on dobrze ten zabobon miejscowy, będący postrachem okolicy.

— Tak, tak — upierał się Marcin — jednym uderzeniem ogromnego kija zadaje śmierć na miejscu... Jeszcze niedawno zdarzyło się to staremu ojcu Godasile, krewnemu mojego wuja, i Antoniemu...

— Uspokój się Marcinie — przerwał ksiądz Klemens. Zaręczam ci, że nie stanie nam się nic złego przy Pas-de-Cronce. „Zły Pasterz“ nie może mieć wpływu nad dobrym pasterzem.

— Tak, tak, pewnie księżę Klemensie — mruczał przecierając sobie energicznie zaspę ocy. — Ale co robić! Chodźmy — jestem gotów.

— Ah! to mi się podoba. Jesteś dzielny chłopcem, Marcinie.

— Robi się, co można — westchnął raz jeszcze młody wieśniak.

Wziął w rękę latarkę i kij i bez słowa już skierował się do wyjścia.

Śnieg jeszcze padał, gęsty i powolny. Powietrze było ciche, spokojne, lecz mroźne.

Ksiądz Klemens szedł dosyć szybko poprzedzony przez chłopca niosącego zapaloną latarkę. W pewnej chwili Marcin odwrócił się nagle i zawołał zmienionym, stłumionym głosem.

— Oh! Boże! Czy ksiądz widział?

— Co takiego? — zainteresował się ksiądz Klemens równając się z nim.

— Ten duży cięf czarny, który się przesunął po prawej stronie?

— Nie widziałem nic, Marcinie. Myśl o „Złym Pasterzu“ nie daje ci spokoju.

— Być może — a jednak ja mam dobre ocy.

Poszli dalej. Marcin musiał w duchu przyznać, że towarzysz jego miał słusność, bo szli już dobre z pół godziny, a nic nadzwyczajnego nie zmąciło ciszy jaka ich otaczała.

Noc była ciemna, śnieg nie ustawał padać nie można było nic widzieć dookoła.

— No, jesteśmy już przy skale — odezwał się w końcu Marcin. — Rzeka płynie tu po lewej stronie, tam w tym głębokim parowie. Jeszcze kilka minut drogi, a wyjdziemy na płaszczyznę. Tu jednak będzie przejście nie bardzo bezpieczne. Ja pójdę przodem, a księdzu radzę uchwycić się mojej kurki i iść tuż za mną.

— Dobrze, Marcinie, posłucham twojej rady — odpowiedział ksiądz Klemens.

— Oh! widzi ksiądz — mówił dalej chłopak, głosem, który drżał mimowoli pod wrażeniem ukrytego niepokoju — tu, w tym miejscu napada zazwyczaj „Zły Pasterz“. Zaczają się na tej skale płaskiej, pod którą teraz przejść musimy i ztamtąd — sam niewidzialny, zadaje cios śmiertelny... Oh! to tutaj... tutaj.

Mówiąc to chłopak wznosił w górę latarkę. I nagle okropny okrzyk zgrozy wybiegł z jego piersi.

Na płaskiej skale widniał cięf jakiś czarny.

— Zły Pasterz... Zły Pa...

Silne uderzenie w głowę zdławiło jego głos... latarka strzaskana drugim, silniejszym jeszcze ciosem runęła w śnieg...

Ksiądz Klemens uderzony w czoło opadł ciężko na ziemię, łęcząc głuchym. Instynktowny ruch jaki uczynił ujrawszy napastnika, był fatalnym w następstwach... słoczył się bowiem aż nad sam brzeg przepaści i po chwili zniknął w głębi śnieżnej, niewidzialnej czeluści...

Marcin zaś, który zwałił się na kolana, ostatnim błyskiem przytomności, przyczoił się aż pod wystającą ścianę skały i zręcznie, nie podnosząc się wcale, skulony, biegł, co sił naprzód.

Po chwili na ścieżkę zeskoczył człowiek jakiś, nachylił się, szukając czegoś po śniegu.

— Gdzież oni są u dyabła! — zaklął półgłosem. — Widziałem przecież jako bydwaj potoczyli się na ziemię. — Ale nagle doszedł go szelest czołgania Marcina i jak szalony skoczył w tym kierunku.

Ale Marcin już wyprostował się i oświadczył piekielnym strachem wielkimi susami uciekać zaczął, krzycząc na całe gardło...

— Ratunku, ratunku... to Zły Pasterz... zabije mnie.

I podniecony nagle, instynktowną myślą do swoich okrzyków wzywających pomocy, dodał jeszcze jeden, najskuteczniejszy, choć tak nieprawdopodobny.

— Ogień! ogień! pali się! ratujcie!

(Ciąg dalszy nastąpi).